

HANNA WYSZKOWSKA

ur. 1930; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, stan wojenny (1981-1983), PTTK Lublin, pałac Czartoryskich, komenda MO, Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie, zatrzymania, Służba Bezpieczeństwa, rewizja SB, areszt na Północnej, wtyczki w Solidarności, represje SB

Stan wojenny i zatrzymanie przez Służbę Bezpieczeństwa

Akuratnie wtedy mieliśmy mieć spotkanie w PTTK, bo myśmy z mężem byli bardzo zaangażowani w turystykę jako przewodnicy, prowadziliśmy rajdy, ja prowadziłam obozy wędrownie, prowadziłam Klub Miłośników Lublina w Młodzieżowym Domu Kultury, później w Wojewódzkim Domu Kultury, mam zresztą sporo wychowanków z tego klubu. I właśnie 13 grudnia ma być spotkanie w PTTK, tu, gdzie jest teraz [Lubelskie] Towarzystwo Naukowe na placu Litewskim, w pałacu [Czartoryskich]. Więc idziemy tam, a tu mówią, że wszystko odwołane. Co odwołane? Rano wstaliśmy, przyszedliśmy tu – odwołane, bo przecież stan wojenny. Stan wojenny? Wracamy do domu, w telewizji [Wojciech] Jaruzelski, telefony nieczynne. Przerażeni byliśmy strasznie. Jesteśmy z mężem też członkami Ogniska Związku Podhalan i mieliśmy mieć spotkanie. Okazuje się, [że] nie, wszystko odwołane, wszystko zawieszono. Przerażeni byliśmy.

To było 13 grudnia, niedługo święta – strajkują robotnicy, bo nie chcieli się pogodzić z tym stanem. Więc ja jak zwykle zbierałam pieniądze na tychże robotników. A wcześniej jeszcze złapali Wacka Białego, jak woził podziemne czasopisma, te „Biuletyny”, i wyznaczili mu jakąś wysoką karę. Kolega [Wiesław] Kaczkowski mówi: „Słuchaj, coś trzeba zrobić z tym, bo musi zapłacić”, „No to dobrze, to zbieramy”. Ponieważ ja zawsze zbierałam na różne cele, to zbieramy. A później [ta] druga historia – robotnicy mają strajk, trzeba im pomóc, trzeba zebrać trochę pieniędzy, żeby im tam podrzucić, czy jedzenie kupić. Więc zbierałam.

Któregoś dnia dostałam wezwanie do stawienia się na Narutowicza w komendzie milicji. Wezwał mnie taki młody człowiek, który – jak się okazało, [kiedy] się z nim spotkałam – czasem przychodził do nas do WDK-u. Pyta mnie, co ja robiłam, że ja tutaj jakieś pieniądze [zbierałam], jak to wygląda, i [że] działałam w „Solidarności”. Więc powiedziałam, [że] rzeczywiście byłam wybrana do tej krajowej rady dla

wojewódzkich domów kultury. „No ale pani coś tam robiła, proszę to wszystko powiedzieć”. To było 4 czy 6 stycznia [1982 roku]. Koleżanki mi mówiły później, że umierały ze strachu, bo wiedziały, że jestem dosyć zadziorna i że będę się kłócić z nim. Ja się z nim pokłóciłam, bo powiedziałam: „Proszę pana, jakim prawem w ogóle tutaj pan ma jakieś pretensje? I jak to się dzieje, że wyście wprowadzili stan wojenny? Przecież siedemnastego* miał być zwołany sejm. Dlaczego nie czekaliście, tylko sami [zdecydowaliście]?”. „A pani wie, że nas to mieli wieszać, latarnie były przygotowane...”. Ja mówię: „Proszę pana, »Solidarność« wieszać miała was? Co pan opowiada?”. „Niech pani tu nie pokrzykuje, proszę napisać wszystko”. „Co mam napisać?”. „No, napisać, co pani wie”. No więc napisałam, że byli tu robotnicy, którzy strajkowali, którzy buntowali się przeciwko, opisałam, że te pieniądze rzeczywiście zebrałam, żeby im przekazać. „No, proszę pani, zobaczymy, zobaczymy, jak to będzie. Czy pani ma jakieś wydawnictwa?”. „Nie, właściwie nie – Boże, przypominałam sobie, że przecież pełno mam tych wydawnictw z podziemnego obiegu, mówię – tak niewiele, ale mam, z Włoch przywiozłam...”. „A to dobrze, to my pojedziemy do pani”. Myślę: „Jezus Maria, no trudno. Nie ma rady”. Wychodzimy, wychodzę przed komendę, on powiedział: „Zaraz wyjdę do pani”, dał mi opiekę – jakiś pan, ale w cywilu, i on takim szeptem: „Proszę pani, niech pani im nic nie mówi, niech pani im nie gada”. Dobrze, więc myślę – jakaś życzliwa dusza. Wsiedliśmy do samochodu, zawieźli mnie na Północną.

[Wcześniej] byliśmy u nas w domu. Weszliśmy, mówię: „Marek, będzie rewizja”. A Marek do mnie: „Słuchaj, ja wszystko wyniosłem”. Okazuje się, że mąż wszystko wyniósł do PTTK, bo podejrzewał, że jak jestem na komendzie i nie ma mnie cztery godziny, to mogą robić rewizję. I jak on, ten nasz opiekun z SB – z WDK-u – wyszedł z mężem sprawdzić, czy w piwnicy i na strychu nie ma maszyn, czegoś tam, to ten, co ze mną został, co pilnował na schodkach, mówił mi: „Proszę pani, niech pani nic nie pokazuje, niech pani nic nie daje. Niech pani milczy, niech pani się nie przejmuję”. Życzliwa dusza. I później, jak oni wrócili, mąż z tym panem, to pokazałam im książkę, którą przywiozłam z Włoch, bo byliśmy ze studentami KUL-u we Włoszech, „Polski kształt dialogu” księdza [Józefa] Tischnera. „A nie, nas wydawnictwa zagraniczne nie interesują”.

Na Północnej [zostałam przekazana] do majora milicji, gdzieś na drugim piętrze. Major milicji powiedział: „Proszę, niech pani siądzie”. Otworzył drzwi, zobaczył, czy [tamten] już poszedł, mówi: „Proszę pani, idzie pani do sali numer trzy. Jest pani zadumana i smutna, zadumana i smutna”. Myślę, co znaczy, [że] zadumana i smutna mam być. No, ale nic. Dobrze. Za chwilę schodzę na dół pod opieką jakiegoś milicjanta. Przyprowadził mnie do takiej pani, która kazała mi się rozebrać, sprawdzić, czy nie mam agrafki, oddać [wszystko, bo] miałam tam parę złotych, obrączkę, jakiś pierścionek, to wszystko włożyła w taką torebkę i cały czas: „Po co to pani było? Po co?”. Tak się zamartwiała, taka była pełna współczucia. No i weszłam do tej celi numer trzy, a tam jakaś pani młoda: „Dzień dobry, jestem pracownikiem naukowym

KUL-u, pani za co?”. Ja mówię: „Proszę pani...”. I tak cały czas jak szłam, myślę, co to znaczy ta smutna i zadumana. Zadumana to znaczy, że nie powinnam gadać. Smutna to znaczy mam być smutna i przerażona, co to się stało. Ja mówię: „Proszę pani, ja nie mam pojęcia. Niech pani mi da święty spokój”. „Ale proszę pani, niech pani powie mi, co tam takiego?”. „Niech pani mi nie zawraca głowy, ja w ogóle nie wiem, dlaczego mnie zamknęli i co tam się działo”. A ona na to: „No wie pani, może ja bym pani coś podpowiedziała”. „Niech pani mi w ogóle głowy nie zawraca”. Wysła. Przychodzi z paczką papierosów i papierem toaletowym. Myślę: o, paczkę papierosów jej dali, to tak nie dają bez [powodu]. I znowu mnie wypytuje i wypytuje. Mówię: „Proszę pani, ja naprawdę nic nie wiem. W ogóle nie wiem, czego się mnie czepiają, co chcą, ja nic nie zrobiłam, nie wiem dlaczego mnie zamknęli. Pojęcia nie mam. Naprawdę nie chcę w ogóle nic słyszeć”. Na drugi dzień rano – to było po południu [dzień wcześniej], byłam chyba na czwartą wezwana – na drugi dzień rano otwierają się drzwi celi, jej już nie ma, dwa razy wychodziła, przynosiła papierosy, paliła, otwierają się drzwi, „Proszę, śniadanie”. Ja mówię: „Nie, ja nic nie będę jadła”. „Proszę pani – on do mnie – musi pani mieć siłę. Proszę zjeść. Musi się pani uspokoić. Wie pani, jak człowiek głodny, to jest do niczego. Niech pani się pożywi”. Odczułam, że to jest taka życzliwość następna. Namówił mnie, żebym zjadła śniadanie. „Za chwilę, proszę pani, idzie pani na kolegium”. Zawieźli mnie na kolegium. [Wcześniej] ten człowiek, który mnie tak uprzedzał, żebym była cicha, spokojna, mówi: „Proszę pani, nie wiadomo, czy nie będą chcieli pani internować. Niech pani weźmie ciepłe buty, grube skarpety i futro”. I ja to futro [miałam na sobie], takie sznurowane buty, w których chodziłam w góry, ale zabrali mi sznurowadła. Jak szło się do celi, zabrali przecież sznurowadła, bo może chcę się powiesić. I w Trybunale, bo tu było kolegium, na drugim piętrze, ciągnęłam tymi butami, bo sznurowadeł nie ma, w tym futrze, weszłam tam – i rozprawa. Nie wiem, co to była za pani sędzia. Po kolei tam wszystkich sądzono. Byli różni ludzie na sali. Byli ci, którzy nie przestrzegali godziny [milicyjnej], bo była wprowadzona, byli studenci i ci, którzy coś tam robili, działali, byli też pijaczkowie z sinymi nosami, z czerwonymi policzkami. No i później ja. Oczywiście nawybrzydzała mi pani sędzina, że mi się zachciało działalności – i kara pięć i pół tysiąca chyba, na tą starą walutę oczywiście. Ja wtedy chyba koło dwóch i pół tysiąca złotych czy trzy dostawałam pensji, więc pięć i pół tysiąca to było sporo. W porządku, przechodzimy teraz do sali obok, no i kto miał pieniądze, to płaci. Więc tam wpłacali. A ja nie mam nic, bo przecież te parę groszy, co miałam, to zostawiłam na Północnej. Mówię, że nie mam pieniędzy. Przychodzi milicjant i mówi: „Proszę państwa, kto zapłacił, to tu, kto nie zapłacił, jedzie na Zemborzycką”. Boże, na Zemborzycką. Ja mówię: „Ale ja wszystko [zostawiłam] na Północnej”. „Aha, dobra”. Podchodzi do mnie takich dwóch pijaczków zasiniaczonych i tu niestety muszę powiedzieć dosłownie jak powiedzieli. Wzięli mnie pod rękę: „Gdzie pani idziesz? My tu zaraz zbieramy, kurwa, pieniądze i zapłacimy za panią”. To zabrzmiało jak największa pieśczoła; chociaż takich słów u nas w domu się nie

używa, ale to brzmiało pięknie. Nie umieli inaczej. Zaczęli zbierać, zebrali sześćset złotych, za mało. No to co zrobić? I ja nagle dojrzałam w kącie, tam stał jakiś pan, którego [znałam]. Mówię: „Proszę pana, czy pan pamięta...”. „No przecież ja u pani męża pracowałem w Ruchu jeszcze”. „Czy pan może zawiadomić męża, żeby pożyczył gdzieś i przyniósł pieniądze, wpłacił, bo mnie wypchną na Zemborzycką czy będą internować”. „Proszę pani, ja już zapłaciłem, już lecę”. Poszedł, zawiadomił męża, mąż wpłacił. Powiedziałam, że już mąż wpłaca, ale w tym czasie tych, którzy nie mieli pieniędzy i dopiero mieli donieść, zabrali na Okopową. Przyjeżdżamy na Okopową, tam w takiej dużej sali siedzimy – już wiem, że jest opłacone – i co pewien czas milicjant, [który tam] siedzi, wypisuje, że można wyjść. Zwracam się do niego: „Proszę pana, ja jestem tu jedyną kobietą w tym gronie, czy mógłby pan mnie w pierwszej kolejności?”. „Siedzieć cicho! Trzeba było nie rozrabiać”. Ponieważ o dziesiątej wyszliśmy z Północnej, jest godzina trzecia czy czwarta po południu, nie korzystałam z ubikacji, mówię: „Proszę pana, ja muszę skorzystać z ubikacji. Czy mogę wyjść?”. Otwiera drzwi: „E, chodź tam który, chodźcie, bo ta kurwa chce się odszczać”. Wróciłam i okazuje się, [że] przerwali nagle odwożenie ludzi na Północną [po to], żeby zabrać część rzeczy, które zostawiliśmy w czasie, [kiedy] nas zamknęli w celi. „Potrzebne są samochody, gdzieś tam pojechali na akcję, musicie czekać”. Dobrze. W pewnym momencie sala jest potrzebna, szybciotko musi być opróżniona, i naszą szóstkę, to znaczy pięciu chłopów i [mnie], zamknęli w [małym] pomieszczeniu, ławka i kraty. Myślę: „Boże, żeby teraz można było zrobić zdjęcie i moja wnuczka zobaczyłaby, jak babcia za kratami siedzi”. Czekamy tam. Wreszcie zabrali nas, wsadzili do nyski, zawieźli na Północną, [aby] zabrać swoje rzeczy. Panowie po drodze mówią: „Proszę pani, my panią odwieziemy do domu, bo nieraz tak bywa, że jak zwalniamy, to następna ekipa znowu aresztuje”. Ja mówię: „Panowie, gdzie mieszkać?”. Ten w Lubartowie, ten gdzieś. Godzina szósta. „Przecież do siódmej nie zdążycie”, bo chyba o siódmej [była godzina milicyjna]. Dojeżdżamy, patrzę, mój mąż przed [aresztem] z odmrożonymi policzkami chodzi, bo powiedzieli mu, że z Północnej będą nas zwalniać, czeka na mnie. Ja mówię: „Panowie, mąż czeka”. „W porządku”. Przyszłam, wydali mi sznurowadła, obrączkę, drobne pieniądze, no i wyszłam. I wtedy bardzo to przeżyłam. Przez pewien czas jak gdzieś zobaczyłam milicjanta, to się bałam. Tu kłóciłam się z tym SB-owcem, a tu się bałam. Dowiedziałam się też, że ta pani, która była właśnie w celi, nazywała się Ewa Mączka i była wtyką na KUL-u, nie była żadnym pracownikiem, zresztą ze sposobu mówienia [to wynikało]. Ona była pracownikiem administracyjnym i wydała całą „Solidarność” KUL-owską. Powiedzieli mi, że to właśnie ta blondynka. Dlatego mnie wypytywała i dlatego ten major kazał być mi smutną i zadumaną – żeby nie gadała. Muszę powiedzieć, że jednak różni byli ludzie i w milicji. Tu chapeau bas jednak przed tymi, którzy starali się pomóc w jakiś sposób.

Któregoś dnia mój kolega z Wojewódzkiego Domu Kultury, który był też nauczycielem w Szkole Muzycznej, [z którym] siedzieliśmy naprzeciw siebie, Stasio, mówi: „Słuchaj,

całą paczką zrobiliśmy jasełka. I te jasełka, oczywiście tajne, chodzą po różnych domach. Czy chcesz, żeby u was zrobić, bo u was jest trochę większy pokój?”. „Dobra! Oczywiście”. „To zawiadam ludzi, takich pewnych, którym można ufać i u ciebie się zbierzemy”. To było właśnie na Krakowskim Przedmieściu 32, mieszkania 9a. Parę dni wcześniej przyniósł, nie wiem, czy Wacek Biały, czy ktoś, cały worek z tymi różnymi strojami. Schowałam. W tym dniu, kiedy miało być to spotkanie, ktoś dzwoni, otwieram, „To tu?”. „No, to tu”. Okazuje się, że w naszym pokoju siedziało około czterdziestu osób, jeden na drugim dosłownie. Wacek Biały był przebrany jako zomowiec, nauczycielka na skrzypcach coś tam przygrywała. Były to jasełka krytykujące oczywiście ten stan wojenny, wszystko to, co się działo właśnie w tym czasie. Chyba Wacek Biały kiedyś w „Gazecie Wyborczej” o tym pisał. Ale to było cudowne. Myśmy odżywali. Na szczęście dokoła nie miałam żadnych podejrzanych lokatorów, tak że wszystko było w porządku.

[W czasie stanu wojennego] zięć miał problemy, bo wywalili go z pracy, nie mógł nawet pracować, ale na szczęście później to wszystko się ułożyło. Tak że trochę przeżyliśmy przez ten okres stanu wojennego i kiedy skończył się, przyjęliśmy to z ogromną ulgą.

* – *posiedzenie sejmku wyznaczone było na 15 i 16 grudnia 1981 r.*

Data i miejsce nagrania	2005-05-27, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Kożuch
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"